

PIŁKARSKIE BAGNO

DARIUSZ ROZWADOWSKI

**PIŁKARSKIE
BAGNO**



Warszawa 2023

Copyright © Dariusz Rozwadowski
Copyright to this edition © by Wydawnictwo Prohibita

ISBN:
978-83-67453-08-0

Przygotowanie okładki do druku:

Maciej Harabasz

Zdjęcie na okładce:

Dariusz Rozwadowski

Wydawca:

Wydawnictwo PROHIBITA

Paweł Tobała-Pertkiewicz



www.prohibita.pl



wydawnictwo@prohibita.pl



Tel: 22 425 66 68



www.facebook.com/WydawnictwoProhibita

Wydanie tej książki,
podobnie jak innych projektów wydawnictwa Prohibita,
NIE zostało sfinansowane z pieniędzy podatników.

Sprzedaż książki w Internecie:

multibook.pl
KSIĘGARNIA INNA NIŻ WSZYSTKIE

...nie, nie, nie, ja jestem uczciwy,
zapłacili za 3:0, będzie 3:0...

(Piłkarski poker)

I

Wwielkim, owalnym pokoju przy długim stole siedziało trzynastu mężczyzn. Większość z nich była już w podeszłym wieku i odpychała swoim wyglądem. Tylko dwóch mogło uchodzić za przystojnych, pozostali mieli niezgrabne sylwetki, a twarze pomarszczone i nabrzmiałe od nadużywanego alkoholu. Ponad nimi unosił się papierosowy dym, który tworzył posępną atmosferę wewnątrz pomieszczenia. Na stole znajdowało się kilka półlitrówek wódki i małe kieliszki. Zebrani namiętnie rozmawiali między sobą. Potworzyło się kilka swoistych grup dyskusyjnych. W pokoju panował harmider.

Nagle otworzyły się drzwi. W progu stanął niewysoki mężczyzna ubrany w granitowy garnitur, białą koszulę i bordowy krawat. Był to Jan Kantor, wiceprezes Związku Polskiej Piłki Nożnej. Miał ciemne włosy, nieco posiwiałe przy skroniach i chudą, długą szyję. Jego twarz pokrywała duża ilość zmarszczek, szare, zamglone oczy potwierdzały skłonność do nadużywania alkoholu, a ponad wąskimi, krzywymi ustami wyrastał wielki, garbaty nos.

Po wejściu do pokoju Kantor uśmiechnął się, choć z trudem można było dostrzec wyraz jego twarzy w gęstwinie dymu, następnie usiadł na końcu stołu w eksponowanym miejscu. Oczy zebranych skupiły się na nim.

– Witam panów serdecznie – przywitał się wiceprezes ZPPN z charakterystycznym dla siebie tajemniczym uśmiechem. – Do końca rozgrywek pozostały cztery kolejki, dlatego nadszedł czas, żeby ustalić wszystkie szczegóły. Poproszę teraz kolegę Szareckiego, żeby przedstawił bieżącą sytuację.

Wzrok wszystkich przeniósł się na Waldemara Szareckiego nazywanego „Szarym”, który siedział tuż obok wiceprezesa. To właśnie on zorganizował całe spotkanie i użyczył swojej posiadłości. Był jed-

nym z młodszych mężczyzn na sali, miał 46 lat. Każdy wiedział, że Szarecki kieruje zorganizowaną grupą przestępczą, bo w półświatku wyrobił sobie znaczącą pozycję, darzono go szacunkiem. Działał na terenie Trójmiasta, mieszkał w Sopocie. Był wysokim, przystojnym brunetem, zawsze elegancko ubranym, który nie mógł opędyć się od kobiet. Nigdy nie związał się z żadnym klubem, ale pomagał drużynom w uzyskiwaniu korzystnych wyników. Większość spraw załatwiano przez niego.

– Zacznijmy od tego, co jest oczywiste – głos zabrał „Szary”.
– Na dzień dzisiejszy wiemy, że awans do ekstraklasy wywalczyli Czarni Warszawa i Chrobry Gniezno. W tym miejscu chciałbym pogratulować prezesom tych klubów.

Dwóch misiowatych mężczyzn siedzących przy stole uśmiechnęło się i przyjęło gratulacje. Szefowie obu klubów, które uzyskały awans, znajdowali się na sali. Poza nimi obecnych było jeszcze czterech prezesów pierwszoligowych zespołów. Utworzyli oni spółdzielnię, którą pod swoje skrzydła wzięli przedstawiciele ZPPN. Nikogo zatem nie mogła dziwić obecność na spotkaniu również trzech sędziów, przewodniczącego kolegium sędziów ZPPN oraz szefa obsady sędziowskiej.

– Pozostaje sprawa trzeciej drużyny do awansu – mówił dalej Szarecki. – Na dzień dzisiejszy trzecie miejsce zajmuje Płomień Stargard, szanse mają również Orzeł Szczecin i Hutnik Katowice. Ślzący odpadają w przedbiegach, nie mają nic do zaoferowania, są za chudzi w uszach. Zostają zatem dwie drużyny – zrobił przerwę w tym miejscu i popatrzył najpierw na prezesa Płomienia Stargard Kazimierza Michalskiego, a następnie przeniósł swój wzrok na szefa klubu ze Szczecina Bronisława Piątka, potem uśmiechnął się, odpalił papierosa i dopiero wtedy dokończył kwestię: – dla wszystkich najlepszym rozwiązaniem będzie, jeśli w tym roku awansuje Orzeł Szczecin.

Krępy, łysiejący mężczyzna z wylewającym się ze spodni brzuchem zerwał się z krzesła.

– Nie po to tyle inwestowaliśmy w ten sezon, żebyście na samym końcu nas wydymali! – wrzasnął z wyrzutem.

– Kaziu, spokojnie, pozwól mu dokończyć – wtrącił się Kantor.

Szarecki zaciągnął się papierosem. Wydychając dym, zrobił kilka kółek i mrugnął w kierunku wściekłego prezesa Płomienia.

– Nie unoś się, tylko wysłuchaj mnie do końca. Masz młodą, perspektywiczną drużynę, ale nie jest ona jeszcze na tyle silna, żeby dała sobie radę w ekstraklasie już teraz, nawet przy naszym wsparciu. Poza tym za Szczecinem przemawiają większe możliwości marketingowe, sponsorzy...

Michalski nie pozwolił mu dokończyć.

– Janek, jak to tak? Bez awansu moi sponsorzy mogą się wycofać, robicie mnie w wała – zwrócił się bezpośrednio do Kantora.

Obaj znali się z dawnych lat. W młodości byli sędziami z ramienia Pomorskiego Okręgu ZPPN, często razem imprezowali i drukowali mecze.

– Kazik, masz świetną drużynę juniorów, na sześć kolejek przed końcem rozgrywek wygrali ligę, za tydzień grają mecz finałowy o Puchar Polski Juniorów, zajmij się nimi, możesz być pewny, że sędziowie nie będą ci w niczym przeszkadzać.

– Rzucasz mi jakieś ochłapy – nie dawał się przekonać Michalski.

– Kaziu, za rok. Zaufaj mi, teraz jest dla ciebie za szybko. Wprowadź do drużyny kilku juniorów, zrób dwa, trzy transfery i za rok będzie ekstraklasa. Masz moje słowo, że twój klub obejmiemy specjalną opieką, oczywiście jeżeli nadal będziesz w „rodzinie”.

Mianem „rodziny” określano spółdzielnię, często używano tego określenia. Prezes Michalski jeszcze się wahał, z trudem próbował hamować wściekłość, ale zdawał sobie sprawę, że decyzje już zapadły.

– Co mogę powiedzieć? Wyruchaliście mnie w dupę koncertowo, jesteście zwykłe chuje. Ale za rok nie pójdzie wam tak łatwo – rzucił ze złością.

Wszyscy jednak wiedzieli, że odpowiedź Michalskiego oznacza jego zgodę na podjęte decyzje.

– Nie pożałujesz Kazik – oznajmił Kantor.

– Zobaczmy, jak stracę głównego sponsora, będziemy mogli zapomnieć o dalszej współpracy. I tak sam wtopiłem w tym sezonie bańkę, daje się to jakoś w firmie tuszować, ale większej kasy już nie będę w stanie wyprowadzać, robotnikom i tak płacę psie grosie.

Michalski miał firmę transportową, radził sobie w tym biznesie całkiem dobrze, ale swoją niezłą pozycję w branży zawdzięczał głównemu sponsorowi klubu, lokalnemu gangsterowi Janowi Krajniakowi pseudonim „Ryba”. Na wieść o braku awansu, Michalski zareagował tak nerwowo, bo przestraszył się, że jego mocodawca wycofa się z inwestowania w Płomień.

– Nadal najwięcej pieniędzy na twój klub wyklada Krajniak? – zapytał Michalskiego przewodniczący kolegium sędziów ZPPN Antoni Dukacz, szczupły, siwiejący mężczyzna o dziobatej twarzy.

Prezes Płomienia potwierdził ruchem głowy.

– Trzeba było od razu mówić, że „Ryba” daje na twój klub – odezwał się „Szary”. – „Rybę” biorę na siebie, dostanie parę cynków, co obstawić u buków i zobaczysz, że się nie wycofa, choćby go kroili.

– Czyli jak rozumiem, najbardziej sporne kwestie zostały już wyjaśnione? – powiedział pytająco Kantor, patrząc w oblicza prezesów z trudem przebijające się spod papierosowego dymu.

Wiceprezes ZPPN był już zniecierpliwiony, chciał jak najszybciej zakończyć omawianie ustaleń. Milczenie zebranych oznaczało zgodę na przedstawiony plan.

– Ligę na pewno opuszczają: Cuiavia Włocławek, Zamek Kraków, Tajfun Zawiercie – znowu głos zabrał „Szary”. – Nikt po tych frajerach płakać nie będzie. W grze zostają jeszcze Błękitni Słupsk i Motor Łódź. Ci ze Słupska ostro rzucają gotówką, dlatego należy im pomóc. Łódź raczej powinna się utrzymać, ale trzeba będzie pilnować, żeby żadna krzywda im się nie stała. Wychodzi więc na to, że

czwartą drużyną do spuszczenia będzie któraś z dwójki Budowlani Bytom, Saturn Skierniewice – zawiesił na chwilę głos, po czym zmienił temat: – Teraz zapoznajcie się z obsadą sędziowską na ten weekend.

Szef obsady sędziowskiej Karol Rojek otworzył czarną teczkę, wziął w swoje tłuste ręce kartkę z wypisanymi nazwiskami, następnie przekazał kolejno zebranych do wglądu. Dukacz wstał i zaczął chodzić po pokoju. Zatrzymał się za jednym z trzech sędziów będących uczestnikami spotkania. Arbiter nazywał się Adam Werblewski, miał 39 lat i jego kariera sędziowska powoli chyliła się ku końcowi. Zdawał sobie sprawę, że tylko należąc do „rodziny”, ma szansę na znalezienie się w gronie obserwatorów i dalsze robienie pieniędzy. Dukacz położył ręce na jego ramionach.

– Przed tobą Adaś bojowe zadanie, gwizdzesz w Bytomiu. Budowlani grają z Saturnem. W tym meczu musi paść remis. Na kasę z tych klubów nie ma co liczyć, frajerzy bawią się w uczciwą piłkę. Nawet jeśli któraś ze stron próbowałaby coś kombinować bezpośrednio przed meczem, nic z tego. Są pieniądze ze Słupska i z Łodzi, dlatego w Bytomiu ma się skończyć podziałem punktów.

Dukacz puścił Adama i zrobił kolejną rundę wokół stołu. Przy stanął obok Michalskiego.

– Kazik, sprawa wygląda tak: w sobotę odpuszczacie Czarnych Warszawa, nic nie podpadnie, w końcu są liderem, za tydzień przegrywacie z Błękitnymi Słupsk, a na koniec w zależności od rozwoju sytuacji możecie nawet zgarnąć trzy punkty, Orzeł i tak będzie miał o jedno oczko więcej.

Michalski nerwowo zacisnął pięści. Był wściekły, najlepiej opuściłby salę, zdawał sobie jednak sprawę, że bez pomocy spółdzielni może zapomnieć o piłce. Dukacz podszedł bliżej Kantora i zatrzymał się w miejscu, z którego widział wszystkich obecnych.

– Orzeł wygrywa wszystko do końca i awansuje. To by było na tyle. Panowie z Sanoka i Bydgoszczy mogą być spokojni, im nic złego już nie grozi.

Prezesi Cresovii Sanok i Rycerza Bydgoszcz kiwnęli głowami. Ich drużyny miały postawione przed sezonem zadanie utrzymania się w lidze i były już bezpieczne. Musiały tylko pilnować, żeby nie oddać punktów zespołom przeznaczonym do odstrzału. Rycerz podejmował w ostatniej kolejce Saturna Skierniewice i w grę wchodziło tylko zwycięstwo bydgoszczan.

– A zatem panowie wszystko już wiemy, dalej będziemy się kontaktować na bieżąco, tak jak do tej pory – oznajmił Szarecki.

Porozumiewali się zawsze w ten sam sposób. Kontaktem był „żołnierz” „Szarego” Marek Jakubczyk, blondyn o twarzy cherubina, nazywany w środowisku „Aniołem”. To z nim zawsze spotykali się prezesi i przedstawiciele klubów, jemu wręczano pieniądze. Szarecki doskonale wiedział, że w razie prowokacji policyjnej lub jakiejś wpadki, „Anioł” na pewno nikogo nie sypnie. Donos oznaczałby, że dziewczyna i siostra Jakubczyka skończyłyby w niemieckich burdelach.

Wysoko postawione osoby w ZPPN na czele z Kantorem również dbały o dyskrecję. Spotkania takie jak to, odbywały się 4 do 5 razy w sezonie.

– Teraz zapraszam panów na mały bankiet – powiedział Szarecki, podnosząc się z miejsca.

Zebrani przeszli do innej części posiadłości. W ogromnym holu na skórzanych kanapach już czekały młode, roznegliżowane dziewczyny, które mogłyby być wnuczkami piłkarskich działaczy. Było w czym wybierać. Napaleni starcy natychmiast rzucili się na prostytutki. „Szary” na chwilę zniknął, żeby pojawić się nieco później w towarzystwie jednej ze swoich kobiet. Wódka zaczęła się lać strumieniami, jedynie Kantor wyraźnie się pilnował. Pomimo że wszyscy wiedzieli o jego problemach z alkoholem, na tego typu spotkaniach nigdy nie pozwalał, żeby urwał mu się film. Niewiele wypił także Antoni Dukacz, bo po zaledwie kilku kieliszkach zabrał jedną z dziewczyn i poszedł do przygotowanego dla bawiących się pokoju. Znacznie później przykład z niego wzięli ci z balangowiczów, którzy

byli jeszcze w stanie utrzymać się na nogach. Prezes Michalski również zabrał do pokoju atrakcyjną blondynkę. Często korzystał z usług prostytutek. Był żonaty, miał rodzinę, ale uwielbiał zabawiać się z młodymi panienkami. Chwycił dziewczynę za rękę i namiętnie pocałował w usta, później kazał jej przykłęknąć i rozpiął rozporek.

Poznański stadion powoli wypełniał się kibicami. Było piękne, majowe popołudnie. Słoneczna pogoda z lekkimi podmuchami wiatru tworzyła idealne warunki do gry. Poznań wybrano na miejsce rozegrania finału Pucharu Polski Juniorów pomiędzy Płomieniem Stargard a Gwiazdą Kraków. Prezes Michalski zasiadł już na trybunie honorowej. Nerwowo rozglądał się dookoła. Sprawiał wrażenie osoby, która w napięciu na kogoś czeka. Obok niego siedziała liczna grupa oficjeli i przedstawiciele ZPPN. Michalski wciąż był wściekły na konieczność odpuśczenia awansu do ekstraklasy, ewentualne zdobycie przez juniorów Pucharu Polski, tylko w niewielkim stopniu mogło poprawić mu samopoczucie. Siedział z zasępioną miną, z rozbieganymi oczami, w których pojawiła się niepewność i wyraźnie dostrzegalny strach, kiedy w końcu zauważył chudego, wysokiego mężczyznę w ciemnym garniturze idącego w kierunku miejsc dla vipów. Janusz Krajniak miał 52 lata, był już znacznie posiwiały, w oczy rzucała się jego pociągła, koścista twarz z zapadniętymi policzkami. Zaczynał jako właściciel sklepu wędkarskiego, dlatego nazwano go „Rybą”, później wzbogacił się na handlu mieszkaniami i sprowadzaniu używanych samochodów z zachodniej granicy. Dodatkowo zajął się przemytem nielegalnego alkoholu. Postrzegano go jako gangstera i rzeczywiście w pewnym momencie się nim stał.

– Czołem Kaziu – przywitał się główny sponsor Płomienia, siadając obok prezesa.

– Cześć – odparł Michalski i uściśnął dłoń Krajniaka.

Prezes był wyraźnie zdenerwowany, pocił się i drżały mu ręce. „Ryba” od razu to wychwycił.

– Co ty taki przejęty jesteś? – zapytał.

Kazik obrzucił rozmówcę zrezygnowanym spojrzeniem. Potem spuścił wzrok i rzekł przytłumionym głosem.

– Później będziemy musieli pogadać.

Krajniak nie odpowiedział, w ogóle nie patrzył na Michalskiego. Jakiś czas obserwował murawę stadionu, następnie zaś rzucił okiem na trybuny. Widok dużej ilości kibiców, mimo wszystko mógł zaskakiwać.

– Nie przejmuj się tak, Szarecki się ze mną kontaktował i wiem, co ustaliliście w sprawie awansu. Masz moje słowo, że nie wycofam się ze sponsorowania klubu. Złożyli mi całkiem interesującą ofertę, dlatego myślę, że nie stanie się nic takiego, jeżeli poczekamy z awansem jeszcze rok – stwierdził po chwili „Ryba” z lekkim uśmiechem na twarzy.

Prezes spojrzał na Krajniaka, wciąż jeszcze przestraszonym i nieco dezorientowanym wzrokiem, ale w głębi duszy odetchnął. Nie spodziewał się, że tak łatwo uda się przekabacić „Rybę”. Okazało się jednak, że „Szary”, oferując Krajniakowi cynki na temat wyników ustawionych meczów ekstraklasy oraz pomoc przy okazjnym zakupie gruntów przeznaczonych w przyszłości pod budowę autostrady, przekonał go, że warto żyć ze „spółdzielnią” w przyjaźni.

– Jaki wynik obstawiasz? – zmienił temat „Ryba”.

– Trudno powiedzieć, Kraków to w końcu Kraków, ale nasi są w gazie, może być ciekawy mecz – odparł wymijająco prezes.

Rzeczywiście ciężko było w tym meczu wskazać zdecydowanego faworyta. Rozgrywki juniorów podzielono zgodnie z regionami kraju, dlatego niektóre drużyny mogły się spotkać tylko przy okazji Pucharu Polski.

W szatni Płomienia Stargard od kilku minut trwała odprawa. Wzrok wszystkich zawodników skupiony był na stosunkowo mło-

dym jeszcze trenerze. Artur Starzyński, wysoki, dobrze zbudowany, ciemnowłosy mężczyzna miał 34 lata. Kiedyś występował jako środkowy obrońca w ekstraklasie, ocierał się nawet o reprezentację narodową, ale groźna kontuzja i błędy lekarzy sprawiły, że w wieku 26 lat musiał przedwcześnie zakończyć karierę. Nie zrezygnował jednak z piłki, poświęcił się pracy szkoleniowej. Z drużyną Płomienia wygrywał kolejno rozgrywki trampkarzy, juniorów młodszych i teraz juniorów starszych. Samo dojście do finału Pucharu Polski było już wielkim osiągnięciem tego niedużego klubu. Starzyński nie miał zamiaru na tym porzestać, interesowało go tylko zwycięstwo.

- Panowie, tylko bez nerwów. To tacy sami piłkarze jak wszyscy pozostali. My jesteśmy najlepsi, jeszcze pięć kolejek do końca, a już wygraliśmy ligę. Co z tego, że to Kraków? Jedziemy z nimi od samego początku - starał się mobilizować chłopaków.

- Spokojnie trenerze, wpierdolimy krakowiaczkom, że zapomną drogi do domu - rzucił z szelmowskim uśmiechem wysoki, obcięty na zapałkę chłopak, który nazywał się Jakub Wierzbicki i występował na pozycji bramkarza. Zawsze z trudem powstrzymywał cięty język, ale bronił wyśmienicie.

- Kto wygra mecz?! - krzyknął Szymon Grodzicki, rozgrywający drużyny, który pełnił funkcję kapitana.

- Płomień!!! - wrzasnęli chórem pozostali.

Zawodnicy opuścili szatnię. W tunelu natknęli się na rywali. Piłkarze Gwiazdy wyglądali na bardzo pewnych siebie. Rzucali lekceważące spojrzenia w kierunku chłopaków z Płomienia. Żartowali i dokładnie poprawiali swój wygląd zewnętrzny. Część piłkarzy ze Stargardu miała nogi jak z waty, można było zauważyć ich zdenerwowanie. Najpewniej zachowywali się Kuba Wierzbicki i najlepszy strzelec drużyny Daniel Dziubowski. Popularny „Dziubek” wyzywająco przyglądał się rywalom. Nigdy nie uchodził za zarozumialca, ale żaden przeciwnik nie był mu straszny. Czasami tylko brakowało mu trochę wiary w siebie. Tego dnia miał jednak wyjątkowo dobre prze-

czucie. Wiedział, że jest w formie. W lidze ustrzelił już 35 goli, mimo że do końca rozgrywek zostało jeszcze pięć spotkań. W Pucharze Polski dorzucił kolejne 7 bramek, co razem dawało imponującą liczbę 42 goli. Ten przystojny chłopak średniego wzrostu, o bujnej, czarnej czuprynie posiadał zdumiewającą łatwość dochodzenia do sytuacji strzeleckich. Piłkarze Gwiazdy wiedzieli o zagrożeniu z jego strony. W tunelu spoglądali jednak na niego raczej lekceważąco. Nikt z krakowian nie dopuszczał do myśli innego scenariusza, niż zdecydowane zwycięstwo.

Płomień miał dobrą drużynę, ale niewiadomą pozostawała sfera mentalna. Z pewnością mogli liczyć na świetnego bramkarza, co stanowiło duży atut i dawało spory komfort psychiczny. Defensywa również była zgrana. Na prawej obronie występował drobny, ale nieustępliwy blondyn Paweł Haller, który często brał udział w akcjach ofensywnych. Wszyscy zastanawiali się, jak on to robi, że może niemal cały mecz biegać na pełnych obrotach od jednej bramki do drugiej. Środek obrony stanowił silny punkt Płomienia, tworzyli go: najmłodszy w drużynie, długowłose Norbert Antkowiak i najstarszy Piotr Makłowski. Nieco gorzej było z lewą obroną, tam grał mający wyraźne braki techniczne Marcin Micuń. Pomoc prezentowała się solidnie. Na prawym skrzydle hasał Jacek Wirski, a na lewym Bartek Lubicki. Reżyserem gry był Szymon Grodzicki, niski, krępy chłopak o zawadiackim spojrzeniu, walczący do upadłego, który pełnił też funkcję kapitana. Jako defensywny pomocnik występował potężnie zbudowany Adam Lenartowicz. Dysponował on piekielnie silnym strzałem z dystansu. W ataku prym wiódł Daniel Dziubowski, ale partnerujący mu Krystian Zagórski też był groźnym napastnikiem.

Kiedy obie jedenastki pojawiły się na murawie, rozległy się gromkie oklaski kibiców. Sędziowie przywitali kapitanów drużyn. Arbitrem głównym spotkania był rudowłose Marian Cebula, który w powszechnym mniemaniu uchodził za solidnego i uczciwego sędziego. W rzeczywistości, podobnie jak większość jego kolegów po

fachu, był po uszy uwikłany w korupcję. Na bokach asystowali mu Karol Mika i młody, szczupły szatyn Aleksander Wilczak. Cebula otrzymał wytyczne od spółdzielni, żeby przychylnie patrzeć na drużynę Płomienia, ale nie była to klasyczna forma przekupstwa, tylko sugestia.

Początek spotkania pokazał, że pomoc sędziego może być bardzo potrzebna. Gwiazda przystąpiła do zmasowanego ataku. Piłkarze Płomienia wyraźnie nie wytrzymali ciśnienia. Na ich szczęście rewelacyjnie w bramce spisywał się Wierzbicki. Przez pierwszy kwadrans miał pełne ręce roboty. Bronił wprost w niewiarygodnych sytuacjach. Sędzia starał się trochę pomóc chłopakom ze Stargardu i odgwizdał dwa problematyczne spalone, ale przewaga krakowian była tak duża, że nawet arbiter nie mógł zmienić obrazu gry.

Artur Starzyński szalał przy linii. Spełniły się najgorsze obawy, jego podopieczni przestraszyli się rywala. Trener próbował ich zmobilizować, dawał wskazówki, ale początkowo nie przynosiło to żadnego skutku.

Około 20 minuty piłkarze Płomienia wreszcie się otrząsnęli. Lenartowicz przejął piłkę w środku pola, przerzucił ją na prawą stronę do włączającego się w ofensywną akcję Hallera, który wymienił podania z Szymonem Grodzickim i dośrodkował w pole karne. Najwyżej wyskoczył Zagórski, ale jego strzał głową minimalnie minął bramkę przeciwników. Akcja mogła się podobać. Płomień zaczął coraz śmieiej atakować. Po kolejnym zagraniu bramkarz Gwiazdy z trudem wybronił kąśliwe uderzenie Dziubowskiego.

W 35 minucie „Dziubek” wyłuskał piłkę rywalowi, minął efektowną sztuczką techniczną obrońcę i pomknął w kierunku bramki. Kiedy wydawało się, że z równie dużą łatwością wywiezie w pole kolejnego przeciwnika, został nieprzepisowo powalony na murawę. Sędzia odgwizdał rzut wolny z około 20 metrów. Do piłki podeszli Dziubowski i Grodzicki. Nieco z tyłu ustawił się Lenartowicz. Wydawało się, że wolnego wykona ktoś z dwójki stojącej tuż przed piłką.

„Dziubek” zrobił zamach, ale zamiast strzelać, lekko zagrał w bok. Na piłkę nabiegł Adam Lenartowicz, którego atomowe uderzenie znalazło drogę do bramki. Futbolówka wpadła do siatki tuż pod poprzeczką. Płomień objął prowadzenie.

Piłkarze Gwiazdy byli w szoku. Spoglądali jeden na drugiego z niedowierzaniem. Nie załamali się jednak i natychmiast próbowali odrabiać straty, ale dwie groźne kontry, które o mały włos, a zakończyłyby się kolejnym golem dla drużyny ze Stargardu, ostudziły ich zapędy. Do końca pierwszej połowy wynik nie uległ zmianie. Pomimo prowadzenia, Starzyński w przerwie nie oszczędzał swoich podopiecznych.

– Co to miało być?! – wrzasnął, kiedy wszyscy znaleźli się już w szatni. – Pierwsze dwadzieścia minut graliście, jakby wam ktoś jaja drutem związał. Czego wy się baliście do jasnej cholery? To oni was się mają bać. Teraz trzeba z nimi jechać od samego początku drugiej połowy. Widzicie, że oni nie grają nic nadzwyczajnego. Nie mają z nami szans, jesteśmy najlepsi, już ich mamy.

Chłopaki lubili przemowy trenera. Czasami nawet mieli z niego ubaw, ale zawsze potrafił ich zmobilizować, tak było i tym razem.

– Zniszczymy ich, już jest po nich – mówił dalej Starzyński. – Spokój i konsekwencja z tyłu, szybkie przejście do kontrataku i ich dobijemy. Panowie, więcej akcji oskrzydających, za mało jest gry z pierwszej piłki. Dalej, klepiemy ich, tylko mi nie wymiękać. Co macie teraz z nimi zrobić?

– Wyjść i rozpierdolić ich w drobny mak – dokończył za trenera w swoim stylu Wierzbicki.

Nikt nie czuł już strachu, wszyscy chcieli jak najszybciej wrócić na boisko i udowodnić, że zdobyta bramka nie była dziełem przy-padku.

Druga połowa rozpoczęła się od ataków Gwiazdy. Krakowianie nie mieli jednak pomysłu na sforsowanie obrony Płomienia. Próbowali grać długimi podaniami, ale wszystkie dośrodkowania były zbie-

rane przez Antkowiaka i Makłowskiego. Rośli obrońcy z łatwością wygrywali pojedynki główkowe z napastnikami Gwiazdy.

Po godzinie gry mecz się wyrównał. W 64 minucie akcją Płomienia zainicjował Haller. Grodzicki umiejętnie się zastawił i zagrał do ładnie włączającego się na skrzydle Lubickiego. Lewy pomocnik stargardzian wygrał pojedynek biegowy z krakowskim obrońcą i dośrodkował w pole karne. Dziubowski kapitalnie uderzył z woleja. Bramkarz Gwiazdy nie miał najmniejszych szans. Piłka ugrzęzła w samym okienku bramki. Na tablicy wyników widniało 2:0 dla Płomienia.

Starzyński podskakiwał z radości przy linii bocznej, zagrzewając swoją drużynę do konsekwentnej gry. Prezes Michalski i Jan Krajniak triumfowali na trybunach, zbierając gratulacje od siedzących obok nich działacze i przedstawiciele ZPPN. Cały stadion szalał z radości. Sympatia kibiców była po stronie dużo mniej znanej drużyny z niewielkiego miasteczka.

Po wznowieniu gry Gwiazda przeszła do ataku. Płomień nastawił się na kontrę, dlatego wyraźnie oddał inicjatywę przeciwnikom. Z każdą minutą krakowianie stawali się groźniejsi. W 71 minucie dynamiczny rajd prawoskrzydłowego Gwiazdy powstrzymał Antkowiak, wybijając piłkę na rzut różny. Piłkarze ze Stargardu dali się zaskoczyć rywalom. Błyskawicznie wykonany kórner przez Gwiazdę sprawił, że zawodnikom z Krakowa udało się zgubić krycie. Piłka trafiła do niepilnowanego na szesnastym metrze piłkarza Gwiazdy, który uderzył silnie po ziemi. Piłka po drodze odbiła się od jednego z zawodników i wpadła do siatki obok zupełnie zmylonego Wierzbickiego.

Goł kontaktowy dawał krakowianom nadzieję. Natychmiast rzucili się do ataku. Dośrodkowanie w pole karne i uderzenie głową z największym trudem wybronił Wierzbicki. Chwilę później znowu w roli głównej wystąpił bramkarz Płomienia, broniąc nieprzyjemny strzał po ziemi. Napór Gwiazdy w dalszym ciągu nie słabł. Po błyskawicznej wymianie piłki w trójkącie krakowski napastnik urwał

się lewemu obrońcy Płomienia, jednak dośrodkowanie z łatwością złapał Wierzbicki. Bramkarz dalekim wyrzutem natychmiast rozpoczął kontratak. Grodzicki z pierwszej piłki zagrał prostopadle do Dziubowskiego. Pułapka ofsajdowa krakowian nie udała się i „Dziubek” znalazł się w sytuacji sam na sam z bramkarzem. Wykonał zwód na zamach, po czym położył golkipera, obiegnął go z łatwością i wpakował piłkę do pustej bramki. Po chwili utonął w objęciach kolegów. Podbiegł jeszcze przybić piątkę z trenerem,

– Nie cofać się, dobić ich, gramy to samo!!! – krzyczał Starzyński, poklepując po plecach swoich piłkarzy.

Do końca regulaminowego czasu pozostało 6 minut. Zawodnicy Płomienia posłuchali wskazówek trenera. Od razu po wznowieniu gry przez Gwiazdę, piłkę przejął Lenartowicz, podał do Lubickiego, i ruszył do przodu. Lewoskrzydłowy Płomienia wymienił podania z Grodzickim i pomknął po skrzydle. Dośrodkował w pole karne, ale najwyżej wyskoczyli krakowianie i wybili piłkę na rzut różny. Korner wykonywał Lubicki. W szesnastce Gwiazdy powstało potworne zamieszanie, futbolówka odbijała się pomiędzy zawodnikami, w końcu jeden z obrońców wybił ją daleko w trybuny.

Piłkarze z Krakowa byli rozbici, pogodzili się już ze swoim losem, a Płomień nie miał zamiaru odpuszczać. Atak sunął za atakiem. Grodzicki podał do Wirskiego, ten natychmiast zagrał do podchodzącego do gry Dziubowskiego. Daniel błyskawicznie odegrał do Grodzickiego i obiegnął obrońcę. Rozgrywający Płomienia podał na wolne pole, co sprawiło, że Dziubowski znalazł się oko w oko z bramkarzem. Tym razem nie dryblował, ale huknął z całych sił. Piłka minęła golkipera i wpadła do siatki tuż przy słupku. Wynik 4:1 nie pozostawiał złudzeń. Prezes Michalski triumfował. To zwycięstwo choć odrobinę poprawiło mu humor.

– Skąd wzięliście tego chłopaka, świetny jest? – zwrócił się do prezesa członek zarządu ZPPN Jan Dąbski, będący pod wrażeniem umiejętności Dziubowskiego.

Michalski nie zdążył odpowiedzieć, bo właśnie rozległ się końcowy gwizdek. Rozpoczęła się wielka radość.

– Jeeest!!! – krzyczał Wierzbicki, biegając z uniesionymi rękami.

Starzyński po kolei gratulował swoim podopiecznym, dziękując im za zaangażowanie i walkę. Kiedy przyszła kolei na Dziubowskiego, trener uściskał go i powiedział:

– Rewelacja „Dziubek”, trzymaj tak dalej, twój czas dopiero nadchodzi.

Po kilkunastu minutach nastąpiło uroczyste wręczenie medali i pucharu. Na początku uhonorowano przegranych. Piłkarze Gwiazdy wciąż byli w szoku, z trudem docierało do nich, że przegrali i to wysoko.

Nadeszła wreszcie chwila, kiedy na przygotowane podium wkroczyli zawodnicy Płomienia. Odebrali medale, po czym Marek Krata, w przeszłości świetny piłkarz reprezentacji Polski, a obecnie członek znieawidzonego w Polsce ZPPN, wręczył puchar kapitanowi Płomienia. Szymon Grodzicki w geście triumfu uniósł trofeum w górę. Później przekazał okazały puchar kolegom. Rozpoczęło się świętowanie. Radość była ogromna. Chłopacy ze Stargardu co prawda wygrali już rozgrywki ligowe, ale zdobycie Pucharu Polski miało zupełnie inny wymiar. Pokonali młodzieżową drużynę kilkakrotnych mistrzów Polski.

Dziubowskiego obstąpili przedstawiciele prasy. Wywiadu udzielał również trener Starzyński. Pozostali piłkarze biegali po murawie, celebrując sukces ze śpiewem na ustach. Dopiero po kilkunastu minutach zeszli do szatni. Chwilę później dołączyli do nich prezes Michalski i Jan Krajniak w towarzystwie dwóch swoich goryli, którzy przynieśli skrzynki z szampanem.

– Żeby nie było, że was rozpijam, ale za taki sukces trzeba wypić – oznajmił uśmiechnięty od ucha do ucha prezes.

Chłopakom aż zaświeciły się oczy. Wzniesli kilka toastów.

– Gratuluję, piękne zwycięstwo, graliście wspaniale – wychwalał drużynę Michalski.

– Teraz przed wami nowe wyzwanie, piłka seniorska. Mam nadzieję, że będziecie równie dobrzy – dorzucił Krajniak.

Obaj mocodawcy Płomienia uścisnęli jeszcze Starzyńskiego i opuścili szatnię. Kiedy zniknęli za drzwiami, chłopacy natychmiast zaczęli oblewać się szampanem. Najbardziej dostało się trenerowi. Starzyński był cały mokry.

Droga powrotna przebiegała w atmosferze śpiewów i radosnych okrzyków. Do Stargardu dojechali po dwudziestej. Zaczynało się już robić szaro, słońce zmieniło się w czerwoną kulę z trudem unoszącą się nad horyzontem.

– Teraz trzeba będzie to uczcić – powiedział Wierzbicki, wychodząc z autobusu.

– Gdzie idziemy? – zapytał Grodzicki.

– Tam gdzie zawsze, do „Młyna” – odparł bramkarz.

Reszta drużyny nie oponowała. Zazwyczaj imprezowali właśnie w tym lokalu. W zespole było kilku chłopaków zawsze pierwszych do zabawy i popijawek, ale tak wielki sukces opijać mieli zamiar także zawodnicy, którzy prowadzili się po sportowemu i unikali alkoholu.

– Mam nadzieję, że trener nie będzie miał nic przeciwko, jak sobie trochę wypijemy – zwrócił się do Starzyńskiego Norbert Antkowiak, który należał do najspokojniejszych chłopaków w drużynie.

– Bawcie się dobrze, tylko nie przesadzajcie, w niedzielę następny mecz – odparł trener.

– Norbi, co ty taki przestraszony? Trener na pewno dziś sam z nami wypije – wtrącił z zawadiackim uśmiechem Wierzbicki.

– Nie da rady chłopacy, po zakończeniu sezonu przewidujemy w klubie małą uroczystość i wtedy będziemy świętować, a teraz muszę powoli się zbierać. Trening w piątek o siedemnastej. Tylko nie przesadźcie dzisiaj – powiedział Starzyński.

Wierzbicki próbował jeszcze namawiać trenera, żeby jednak poszedł się z nimi napić, ale nic nie wskórał. Starzyński nigdy nie należał do zbyt rozrywkowych osób. Z chłopakami z drużyny miał doskonałe relacje, jednak rzadko z nimi wychodził. Całym jego światem była piłka nożna. Żona zostawiła go, kiedy ciężka kontuzja uniemożliwiła mu kontynuowanie kariery piłkarskiej. Okazało się, że była z nim tylko dla pieniędzy i sławy. Starzyński mocno to przeżył. Lekarstwem na złamane serce okazała się praca. Poświęcił się bez reszty trenerce. Każdą wolną chwilę przeznaczał na analizy i wzbogacanie swojego warsztatu szkoleniowego. Zamiast iść z drużyną opijać zwycięstwo, wolał w domu przygotowywać strategie na następne mecze. Poza tym uważał, że skoro jest trenerem drużyny młodzieżowej, nie powinien pić alkoholu ze swoimi podopiecznymi, żeby nikt mu nie zarzucił nieetycznego postępowania.

Po opuszczeniu stadionu chłopacy ruszyli w kierunku „Młyna”. Żartowali w najlepsze. Kiedy dochodzili do rynku, zauważyli dwie dziewczyny idące z naprzeciwka. Z grupy rozbawionych piłkarzy odłączyli się Dziubowski i Lenartowicz. Obaj szybkim krokiem podeszli do dziewczyn. Adam objął wysoką, smukłą blondynkę o niebieskich oczach. Pocałował ją czule, co od razu wywołało uszczypliwe komentarze kolegów. Natomiast Danielowi na szyi zawisała druga dziewczyna, drobna, filigranowa o długich, brązowych włosach. Była lekka jak piórko. Chłopak uśmiechnął się i zanim zdążył coś powiedzieć, został zasypany pocałunkami.

– Wiesz co? Chodź, bo nie dadzą nam tu spokoju – powiedział, kiedy dziewczyna stanęła już na ziemi, a on chwycił ją za rękę.

– Hej, dokąd to?! – zaczęli krzyczeć chłopaki, widząc jak Dziubowski i jego dziewczyna odłączają się od nich.

– Przyjdziemy, możecie być spokojni – odparł „Dziubek”.

Zakochani zniknęli za rogiem ulicy. Dziewczyna Daniela Agnieszka Milecka była jego dziecięcą miłością. Już od najmłodszych lat spędzali ze sobą dużo czasu. Mieszkali po sąsiedzku. Chłopak był rok

starszy, ale dziewczyna zawsze znajdowała się blisko niego, również interesowała się piłką nożną, co spowodowane było tym, że jej ojciec grał kiedyś w piłkę i sympatię do tego sportu przekazał córce. Dziubowski lubił jej towarzystwo, choć niektórzy koledzy z podwórka patrzyli na nią krzywym okiem, w końcu była dziewczyną, a dla małych chłopców zadawanie się z babami uchodziło za coś co najmniej niestosownego. Daniel i Agnieszka niezbyt się tym jednak przejmowali. Kiedy podrośli, nie mieli wątpliwości, że zrodziła się między nimi miłość.

– Wiedziałam, że wygracie – powiedziała Agnieszka.

Jej uśmiech sprawiał, że nawet najbardziej przygnębionej osobie poprawiał się humor. Swoją nieprzeciętną urodą zwracała na siebie uwagę. Miała odrobinę oliwkową cerę i ciemnoniebieskie oczy. Z jej twarzy rzadko kiedy znikał uśmiech.

– Strasznie żałuję, że nie mogłam być na tym meczu, miałam dziś bardzo ważną klasówkę i musiałam iść do szkoły – mówiła dalej dziewczyna.

– To było piękne zwycięstwo, ale nie czuję się zbyt dobrze, ciężko mi się skupić, denerwuję się maturą – powiedział Daniel z niepokojem w głosie.

– Przed tobą jeszcze tylko egzaminy ustne, na pewno sobie poradzisz – odparła Agnieszka, biorąc go pod rękę.

– No nie wiem, na pisemnych niezbyt mi poszło.

– Jak zwykle przesadzasz, myśl pozytywnie – próbowała podnieść go na duchu.

Dziubowski posmutniał, ale natychmiast postanowił wyrwać się ze stanu przygnębienia.

– Zmieńmy temat, dziś szczęśliwy dzień, szczerze mówiąc, wolałbym spędzić ten wieczór z tobą, ale chłopaki by mi nie darowali, gdybyśmy nie poszli do „Młyna”.

– No zdecydowanie byłoby po tobie. – Roześmiała się dziewczyna.

Oboje usiedli na chwilę na ławce w parku. Zapalały się pierwsze latarnie. Nadciągała noc. Daniel objął Agnieszkę i przytulił.

- Dziękuję - powiedział niemal szeptem.

Spojrzała na niego z lekkim zdziwieniem.

- Dziękuję, że jesteś przy mnie. Dzięki tobie potrafię w siebie uwierzyć, Kocham cię - rozwinął wcześniejszą myśl.

Uśmiechnęła się. Popatrzyła przez chwilę w jego oczy, po czym ich usta połączyły się w namiętym pocałunku.

- Jesteś najlepszy kochanie, nigdy w to nie wątp. Zobacz, wszystko świetnie się układa. Nasi wejdą do ekstraklasy, będziesz mógł pokazać, na co cię stać - powiedziała Agnieszka. - Poza tym dla mnie zawsze będziesz najlepszy, kimkolwiek byś nie był, zawsze będziemy razem, to przeznaczenie.

Znowu go pocałowała. Siedzieli przytuleni, wpatrując się w olbrzymi, srebrny księżyc, który w towarzystwie tysięcy gwiazd zawisł nad nimi. Chcieli jak najdłużej trwać w tym stanie, ale zdawali sobie sprawę, że muszą choć na chwilę pojawić się w „Młynie”. Ruszyli więc objęci urokliwą alejką oświetlaną jasnym blaskiem latarni.

Czerwony Seat Cordoba rocznik 1998 przejechał bramę niewielkiego stadionu mieszczącego się w małym miasteczku położonym blisko Torunia. Z samochodu wysiadło trzech mężczyzn. Za niespełną godzinę mieli poprowadzić mecz II ligi. Działacze miejscowego klubu Cyklonu Kowalewo przywitani arbitrow. Trzydziestojednoletni Tomasz Lasota, średniego wzrostu blondyn o niebieskich oczach i wesołym obliczu wielokrotnie sędziował spotkania na tym stadionie.

- Dzień dobry panie Tomku - przywitał arbitra prezes Cyklonu Ryszard Mazurek.

- Witam, szatnie tam gdzie zawsze? - odparł Lasota, który wyraźnie nie miał ochoty na dłuższą rozmowę.

– Tak, jakby czegoś brakowało, proszę mówić.

Sędzia, unikając spojrzenia Mazurka, szybko go wyminął i ruszył w stronę szatni. Tomaszowi towarzyszyło dwóch młodych chłopaków, którzy mieli sędziować na linii. Lasota czuł podenerwowanie, miał bowiem gwizdać przeciwko gospodarzom. Cyklon grał z Gromem Bydgoszcz, który już przed rozpoczęciem sezonu stawiany był w gronie faworytów do awansu. Piłkarsko bydgoszczanie wcale nie należeli do najlepszych, ale mieli poparcie Kujawsko-Pomorskiego Okręgu ZPPN. Wyznaczenie Lasoty na arbitra tego spotkania nie było dziełem przypadku. Tomasz, młody bardzo ambitny sędzia, pomimo że drukowanie meczów wywoływało w nim wyrzuty sumienia, zbyt mocno kochał pieniądze, żeby nie ulec pokusie. Poza tym marzyła mu się wielka kariera sędziowska i doskonale zdawał sobie sprawę, że w tym kraju w inny sposób jej nie zrobi. Na arbitra meczu Cyklon – Grom został wyznaczony przez Henryka Brodziuka, będącego prawą ręką samego Antoniego Dukacza. Lasota doskonale wiedział, jaka szansa się przed nim otwiera. Pochodził z maleńkiej wsi z okolic Gdańska. W domu rodzinnym poznał, co znaczy bieda. Po skończeniu zawodówki znalazł pracę w firmie ówczesnego wiceprezesa Pomorskiego Okręgu ZPPN, byłego sędziego piłkarskiego i wysoko postawionego oficera Służby Bezpieczeństwa PRL Edmunda Grossa. Właśnie wtedy rozpoczęła się przygoda Lasoty z sędziowaniem. W opinii obserwatorów należał do najzdolniejszych arbitrów. Początkowo zdecydowanie nie godził się na żadne przekręty, chciał być uczciwy. Po pewnym czasie zrozumiał jednak, że będąc „czystym”, nigdy nie uzyska awansu. Wielokrotnie uczestniczył jako liniowy w sprzedanych meczach. On nie brał, ale spotkania i tak były ustawiane. W końcu sam zaczął drukować. Nie cierpiał tego, czuł się podle, myślał nawet, żeby zrezygnować z sędziowania, jednak uległość i przekręty przynosiły ze sobą szybki awans, a wraz z nim łatwe i spore pieniądze. Wiedział, że nigdzie indziej tyle nie zarobi. Z zawodu był blacharzem, ale nigdy nie pracował w tej profesji. Miał na

utrzymaniu młodą, ładną żonę i gdy zaczęła się przed nim rysować wizja wielkiej kariery, nie zrezygnował z sędziowania, a pieniądze zagłuszały wyrzuty sumienia. Wciąż jednak nie lubił drukować. Prezesowi Cyklonu nie potrafił spojrzeć w oczy.

Po wejściu do szatni Lasota od razu zaczął się przebierać. Dwaj jego asystenci nie byli problemem. Jacek Kret, pękaty młodzieniec o zbójckim spojrzeniu, należał do wielkich kombinatorów, przekręcał, co się dało i nie żądał w zamian dużo. Przed tym meczem również otrzymał niewielkie pieniądze. Drugi z sędziów liniowych Adrian Rucki był gołowąsem, dopiero raczkował w tej profesji, a że do najbystrzejszych nie należał, nawet nie powiadomiono go o planowanym ustawieniu spotkania.

– Zapowiada się ciekawy mecz, ten Cyklon jeszcze nie jest bez szans na awans, na pewno będą walczyć do końca – zauważył Adrian.

Dwójka jego kolegów wymieniła tylko wymowne spojrzenia. Los kowalewskiej drużyny był już przesądzony, choć jak na beniaminka z niewielkiej miejscowości robili furorę w lidze. Jednak kierownictwo klubu nie wchodziło w żadne układy, co w praktyce przekreślało szanse awansu.

Ładna pogoda sprawiła, że na kameralnym obiekcie w Kowalewie pojawiło się dużo kibiców. Cyklon zajmował w lidze 3 miejsce na 3 kolejki przed końcem rozgrywek. Do prowadzącego Gromu Bydgoszcz tracił zaledwie 3 punkty. Ponadto w Bydgoszczy w rundzie jesiennej padł remis, w związku z czym zwycięstwo nad Gromem oznaczałoby dla kowalewian przeskoczenie w tabeli dotychczasowego lidera.

Sędziowie wyprowadzili obie jedenastki na murawę. Po krótkim przywitaniu drużyn rozległ się pierwszy gwizdek. Zawodnicy Cyklonu od razu przystąpili do ataku. Z około 25 metrów groźny strzał minimalnie minął bramkę Gromu. Lasota w tej sytuacji niewiele mógł zdziałać. Jednak w następnej akcji wykazał się już własną inwencją.

Z sobie tylko wiadomych przyczyn odgwizdał faul na obrońcy w polu karnym bydgoszczan. Był co prawda niewielki kontakt między zawodnikami, ale zdecydowanie nie kwalifikowało się to na przewinienie. Arbiter, widząc zagrożenie dla bydgoskiej drużyny, dopatrzył się faulu, którego nie było. Na trybunach rozległy się gwizdy i wyzwiska pod adresem sędziego.

Po kwadransie piłkarze Gromu zaczęli przejmować inicjatywę, jednak ich akcje nie zagrażały bramce gospodarzy.

W 32 minucie nadarzyła się okazja, żeby pomóc bydgoszczanom. Lasota natychmiast z niej skorzystał. Bramkarz Cyklonu złapał piłkę zagrana przez jednego ze swoich obrońców tuż za linią końcową boiska, ale według sędziego interweniował jeszcze w polu karnym. Lasota potraktował całą akcję jako podanie do własnego bramkarza i podyktował rzut wolny pośredni dla Gromu, choć powinien być rzut różny. Przyjezdni nie potrafili jednak zamienić tego prezentu na bramkę.

Pięć minut później było już 1:0 dla gości. Obrońcy Cyklonu zastawili skuteczną pułapkę ofsajdową, ale Jacek Kret nie podniósł chorągiewki. Napastnik z Bydgoszczy znalazł się oko w oko z kowalewskim bramkarzem i bez trudu umieścił piłkę w siatce. Gospodarze nie kryli swojej wściekłości. Piłkarze Cyklonu zaatakowali sędziego. Lasota błyskawicznie uspokoił dwóch najbardziej krewkich zawodników, pokazując im żółte kartki. Na trybunach rozszłoszczony prezes kowalewskiej drużyny podbiegł do obserwatora tego spotkania.

– Co to jest? Widzi pan, co ten baran odstawia? Mam nadzieję, że odnotuje pan jego wyczyny.

Stary, gruby mężczyzna w okularach z ironicznym uśmiechem odparł:

– Niech się pan nie denerwuje, gra błędów, jeszcze godzina do końca, pańska drużyna może to wygrać.

Prezes machnął tylko ręką i wrócił do działaczy swojego klubu. Obserwator nie miał zamiaru robić krzywdy Lasocie. Doskonale wie-

dział, kto w tym meczu ma wygrać. On też wziął pieniądze, żeby z tego spotkania powstało odpowiednie sprawozdanie dla władz sędziowskich.

Uznanie kontrowersyjnego gola pociągnęło za sobą wielki gniew kibiców. Rozległy się głośno okrzyki:

– Sędzia chuj, sędzia chuj, sędzia chuj!!!

Po chwili zaś sympatycy Cyklonu całą złość przelali na drużynę Gromu:

– Ty-fu-sy je-ba-ne, ty-fu-sy je-ba-ne, ty-fu-sy je-ba-ne!!! – płynęło z trybun.

Wszystkie bydgoskie drużyny były szczególnie znienawidzone na terenie województwa kujawsko-pomorskiego. Każdy doskonale zdawał sobie sprawę, że sędziowie traktują kluby z tego miasta z dużą pobłażliwością, a wręcz je faworyzują. Gniew kibiców gospodarzy rósł z każdą chwilą. Wulgarnie przezwiska pod adresem bydgoszczan krzyczeli niemal wszyscy, starsi i młodszy, kobiety i mężczyźni. Nieduża grupa kibiców z Bydgoszczy przyglądała się w ciszy tym pełnym nienawiści okrzykom.

Do końca pierwszej połowy wynik nie uległ już zmianie. Gra toczyła się w środku boiska, a sędzia pilnował, żeby Cyklon nie zagroził bramce Gromu. Gwizdek na przerwę wywołał kolejną falę nienawistnych okrzyków. Wielu kibiców zbiegło do ogrodzenia oddzielającego boisko od trybun i w najlepsze lżyło arbitrow:

– Ile wam dali?! Wy chuj! Pierdolone sprzedawczyki! – przewisko goniło przewisko.

Kiedy sędziowie dotarli do szatni, natychmiast obścąpili ich działacze Cyklonu.

– Panowie, co wy robicie, że drużyna jest z małej miejscowości, to wy gwizdziecie za Bydgoszczą? – powiedział z żalem prezes Mazurek.

Lasota bez słowa przedarł się przez szpaler działaczy i zniknął w korytarzu. Chwilę później dołączyli do niego sędziowie asystenci. Cała trójka weszła do szatni.

– Cholera, ale nerwowo się zrobiło – rzucił Rucki z przejęciem odmalowanym na twarzy.

– Na takich wiochach czasami częściej dymią, niż w większych miastach – odparł Kret.

– Jesteś pewny, że przy голу nie było spalonego? – zapytał Adrian. Twarz Kreta wykrzywiła się w gniewie.

– Co ty mi tu sugerujesz? Jakby spalił, to bym pokazał, przestań pierdolić.

Jego oburzenie było niezwykle wymowne. Z kolei Lasota długo się nie odzywał.

– Co ty młody myślałeś? – zwrócił się w końcu do Ruckiego. – Wydaje im się, że jak są gospodarzami, to powinniśmy patrzeć na nich przychylnie, ale my traktujemy równo obie jedenastki. A że krzyczą? Niech sobie krzyczą, my robimy swoje.

Lasocie bez trudu udało się rozwiąć wątpliwości młodszego kolegi. Główny sędzia tego spotkania, mimo napiętej atmosfery na stadionie, wiedział, że wszystko idzie zgodnie z planem.

Na następne 45 minut sędziowie wyszli witani kolejną dawką wulgaryzmów. Początek drugiej połowy w wykonaniu obu jedenastek był niemrawy. Arbiter tylko raz pomógł gościom, nie odgwizdując ewidentnego zagrania ręką u jednego z bydgoskich pomocników. Lasota skrupulatnie czuwał nad tym, żeby wynik nie uległ zmianie. Nie mógł jednak przewidzieć lekkomyślności bramkarza Gromu. W 61 minucie, z pozoru w niegroźnej sytuacji, zawodnik Cyklonu oddał strzał z około 35 metrów, bo zauważył, że golkiper przeciwników wyszedł z bramki na jedenasty metr. Silne uderzenie zaskoczyło bydgoskiego bramkarza, który nie zdążył na czas z interwencją i dał się przelobować. Sędzia nie miał wyjścia i musiał uznać gola.

Do końca meczu zostało pół godziny, a Cyklon zaczął coraz śmielej atakować. Grom nastawił się na kontrataki i podczas jednego z nich, bydgoski napastnik brutalnie sfaulował kowalewskiego bramkarza. Za swoje zagranie nie ujrzał nawet żółtej kartki. Lasota uka-

rał natomiast kapitana Cyklonu, który jego zdaniem zbyt natarczywie domagał się kary dla rywala. Zachowanie arbitra jeszcze bardziej rozwścieczyło kibiców. Pod adresem sędziów sypały się gromy. Lasota jednak robił swoje. W 80 minucie podyktował problematyczny rzut wolny dla bydgoskiej drużyny. Pokazał piłkarzom, że zagranie będzie wykonywane na gwizdek. W momencie, kiedy bramkarz Cyklonu ustawiał mur, zawodnik Gromu technicznym strzałem posłał futbolówkę do pustej bramki, a sędzia bez wahania gola uznał. Goście ponownie objęli prowadzenie.

Piłkarze Cyklonu zaczęli żywiołowo protestować. W kilku otoczyli sędziego. Jeden z nich nawet odepchnął Lasotę. Sytuację próbował uspokoić kapitan kowalewskiej drużyny, odciągając najbardziej agresywnych kolegów. Kiedy udało mu się opanować sytuację, zwrócił się do arbitra:

– Panie sędzio, jak to tak? Pokazuje pan, że gramy na gwizdek, a później uznaje gola strzelonego bez gwizdka? Co to jest?

Lasota, pomimo że słowa kapitana Cyklonu nie miały znamion niesportowego zachowania, wyciągnął żółty kartonik. Po chwili zaś w górze trzymał czerwoną kartkę. Z trybun rozległo się głośne skandowanie:

– Sędzia chuj, sędzia chuj!!!

Grający w dziesiątkę gospodarze nie mieli szans na doprowadzenie do remisu. Mecz zakończył się zwycięstwem Gromu Bydgoszcz 2:1.

Kibice wpadli w furję. Zaczęli rzucać w kierunku sędziów wszystkim, co mieli pod ręką. Arbitrzy w pośpiechu udali się do szatni, nie reagując na wnoszone pretensje przez działaczy Cyklonu. Prezes kowalewskiej drużyny nie odstępował na krok obserwatora.

– Gdybym wiedział, że tak to będzie wyglądało, oddalibyśmy punkty walkowerem. Przecież to była nędzna farsa. Po co grać, skoro i tak z góry wiadomo, kto ma wygrać? – Mazurek nawet nie próbował kryć swego żalu połączonego z bezsilnym gniewem.

Kibice nie chcieli odpuścić. Wątpliwe siły policyjne nie były w stanie powstrzymać tłumu, który okrążył budynek klubowy. Zanosilo się na lincz sędziów. Działacze Cyklonu próbowali uspokoić rozwścieczonych fanów, ale na niewiele się to zdało. Kiedy w drzwiach pojawił się nagle Rucki, wysłany przez dwóch starszych kolegów, żeby sprawdził, czy można opuścić stadion, natychmiast został obrzucony kamieniami, drobnymi monetami, a także opluty przez chuligana, stojącego w bliskiej odległości. Na swoje szczęście młody sędzia w porę zdążył zamknąć drzwi i wrócił do szatni. Dopiero przybycie policyjnych posiłków zaprowadziło porządek. Kibice, na widok groźnych psów, które pojawiły się wraz z funkcjonariuszami, odpuścili i po kilkunastu minutach z wulgaryzmami na ustach opuścili stadion. Wtedy sędziowie w pośpiechu wsiedli do swojego samochodu i eskortowani przez dwa policyjne radiowozy wyjechali z miasteczka.

– Ja cię kręcę, pierwszy raz coś takiego przeżyłem, jeszcze się trzęsę – wyrzucił z siebie, wciąż mocno zdenerwowany Rucki.

Prowadzący samochód Kret uśmiechnął się tylko pod nosem.

– Musisz do tego przywyknąć, taki los sędziego – odparł po chwili.

– Jak jesteś zbyt wrażliwy, to lepiej sobie to odpuść – dodał Lasota.

Tomek był rozbawiony naiwnością młodego kolegi. W pewnym momencie poczuł się jednak nieswojo. Przypomnił sobie, że kiedyś też wierzył w ideały i chciał być uczciwy. Do końca drogi powrotnej nie odzyskał już dobrego humoru. Kret wysadził go na osiedlu położonym na przedmieściach Gdańska. Lasota mieszkał w niewielkim segmencie. Zbierał pieniądze na budowę domu, ale na obecne mieszkanie też nie mógł narzekać. Znajdowało się w bezpiecznej okolicy i było przestronne. Zanim zdążył wejść do środka, w drzwiach pojawiła się jego żona Patrycja.

– Nareszcie jesteś kochanie – przywitała go z uśmiechem.

Była ładna, miała jasne, długie włosy i błękitne oczy. Tomasz natychmiast ją objął i pocałował. Oboje weszli do domu.

– Miałem koszmarne dzień – powiedział Lasota, wypuszczając żonę z ramion.

– Zrobiłam kolację, na pewno jesteś głodny, porozmawiamy w kuchni.

Tomek, ociągając się, poszedł za Patrycją. Nie miał ochoty na jedzenie. Wciąż czuł się podle. Obserwował żonę, jak podaje do stołu. Miała na sobie obcisłą bluzkę zarysowującą obfity biust i ubrane luźne spodnie. Lasota za nią szalał. Małżeństwem byli od czterech lat, ale ich miłość wydawała się równie silna jak przed ślubem. Patrycja pracowała w pobliskiej szkole podstawowej jako nauczycielka języka polskiego. Większą przyjemność dawało jej jednak zajmowanie się domem. Tomasz miał wrażenie, że wygrał los na loterii. Jedyne, co spędzało mu sen z powiek, to jego zarobki. Poza sędziowaniem nadal pracował w firmie Grossa, ale zdawał sobie sprawę, że naprawdę duże pieniądze może mu przynieść tylko świat piłki.

Po kolacji poszedł do pokoju. Powalił się na kanapie. Był zmęczony psychicznie. Po chwili dołączyła do niego Patrycja. Usiadł i przyciągnął żonę do siebie. Przytulił ją i pocałował w szyję.

– Cudownie pachniesz – powiedział, po czym ich usta połączyły się w namiętym pocałunku.

Obrócił ją i położył na kanapie. Przywarł do niej całym ciałem. Igraszki przerwał telefon. W pierwszej chwili Lasota nie chciał odbierać, ale natarczywy dźwięk nie dawał za wygraną. W końcu sędzia wstał i chwycił leżącą na stoliku komórkę.

– Świetnie się spisałeś – rozległ się głos w telefonie. – Możesz być pewny awansu, od przyszłego sezonu sędziujesz pierwszą ligę, gratuluję.

Tomek nawet nie zdążył podziękować, bo rozmówca natychmiast się rozłączył. Rozpoznał jedynie, że rozmawiał z Edmundem Grosse. Jego pracodawca wciąż działał w strukturach sędziowskich, był obserwatorem, a wiele osób postrzegało go jako szarą eminencję mającą znaczny wpływ na podejmowanie decyzji przez władze

sędziowskie. Jednak dopiero pierwszy raz skontaktował się z Tomaszem bezpośrednio w sprawie dotyczącej kariery sędziowskiej swojego pracownika. Wcześniej Gross czasami wypytywał Lasotę, jak mu idzie, ale teraz jawnie wystąpił w roli mecenasa. Mimo wszystko, Tomek był zaskoczony. Wyraz jego twarzy nie uszedł uwadze żony.

– Czy coś się stało? – zapytała niepewnie.

Podszedł do niej i przytulił ją do siebie. Zanurzył palce w jej włosy.

– Mam bardzo dobre wieści, awansowałem.

Kobieta spojrzała mężowi w oczy.

– Naprawdę? – zapytała z lekkim niedowierzaniem.

– Tak, teraz będę zarabiał dużo więcej. Zobaczysz, że do zimy wprowadzimy się do naszego nowego domu.

– Przecież wiesz, że pieniądze nie są najważniejsze.

– Kochanie, dam ci wszystko, czego zapagniesz – powiedział z uśmiechem Tomek.

– Chcę ciebie – odparła.

Znowu zaczęli się całować i po chwili wylądowali z powrotem na kanapie.